

Późny sierpień

Umówiły się na koniec sierpnia. Wcześniej jakoś się nie składało. Lato męczyło upałami, im coś ciągle wypadało, a to nieplanowany remont, a to praca albo sprawy z dziećmi. Ucieszyły się na swój widok, dawno się nie widziały. Rozpakowywały rzeczy i jedna przez drugą opowiadały, co u nich. Roześmiały się, gdy wyszło na jaw, że obie kupiły takie samo wino. Ona powiedziała, że zostawią je sobie na wieczór. Będzie pasować do tego sierpnia i babskich pogaduszek.

Skąd mogła wiedzieć, że wszystko potoczy się inaczej?

Po śniadaniu poszły na spacer. Dzień zapowiadał się wspaniale. Ranek okazał się zaskakująco chłodny w porównaniu z poprzednimi i rosa jeszcze do teraz skrzyła się w cienistych miejscach. Powietrze było zupełnie inne niż w miastach, w których mieszkały. Obie wyjechały na długo przed świtem, byle już nie oglądać pożółkłych trawników, rozgrzanego, lepkiego asfaltu i wymęczonych upałem ludzi. W mieście nawet nocą nie dało się od niego uciec. Beton tak się rozgrzewał, że do rana oddawał ciepło i ciężko było oddychać. Tutaj to co innego, aż chciało się wyjść.

Skąd mogła wiedzieć, że tak szybko przyjdzie jej wracać?

Szły wąwozem wzdłuż strumienia. Woda chlupotała o kamienie, a powietrze pachniało wilgotnymi ziołoroślami. Co za luksus po skwarze miasta i spacerach w przywiedłych parkach! Za krzyżem wspięły się do przełęczy, skąd był najlepszy widok na okolicę. Z tej perspektywy pobliskie wzgórza i ukryte pomiędzy nimi miasteczko przywoływały na myśl Toskanię – kamienna wieża kościoła, biegnący wokół zabudowań mur obronny i topole przy krętej drodze z daleka przypominające cyprysy. Do tego dachy starych domów, z których każdy chylił się w inną stronę. Niektóre były wprawdzie wyremontowane, ale inne pozostały przybrudzone i gdzieniegdzie porośnięte mchem. Piętrzyły się jeden obok drugiego niczym kolonia opieniek.

Zapatrzyły się na ten widok i ona powiedziała, że muszą przyjść tu na wschód słońca. Już sobie wyobrażała te mgły w dolinie i różowe zorze na horyzoncie.

Skąd mogła wiedzieć, że następnego ranka będzie zupełnie gdzie indziej?

Obiad zjadły w tym samym zajeździe co zwykle. Podawali tam najlepszą kwaśnicę, jaką kiedykolwiek jadły. Nigdy im się nie nudziła. Za to zawsze miały problem, czy wybrać pierogi, czy wątróbkę. Jedno i drugie smakowało wyśmienicie. Niby zwykle domowe jedzenie, a oddałyby za nie najbardziej wykwintne frykasy z pięciogwiazdkowych restauracji.

W końcu zdecydowały, że dziś zjedzą ruskie, ale ona dodała jeszcze, by właścicielka nie zapomniała jutro o wątróbce, bo na pewno się na nią skuszą.

Skąd mogła wiedzieć, że nieprędko pomyśli o jedzeniu?

Usiadły w ogrodzie pod pergolą. Nasturcje pięły się na nią i na płot. Tak się rozrosły, że zawinęły się również na daliach i teraz trudno byłoby je rozdzielić. Jadły w milczeniu, zapatrzone na rozciągnięte w pasy chmury na niebie, na sunące po pobliskiej drodze samochody i rudego kota, który z pochyloną głową skradał się w zaroślach. Tak się najadły, że nie chciało im się odzywać. Pogaduszki zostawiły sobie na wieczór.

Skąd mogły wiedzieć, że spędzą go inaczej, niż planowały?

Po południu wybrały się nad staw. Był tam rząd starych, chylących się topoli o balsamicznym zapachu, niewielka łąka z jaskrami i plaża, na której rozłożyły koce. Siedziały z nogami zanurzonymi w piasku, woda srebrzyła się jak rtęć. Czasem przesuwały się po niej nartniki albo tuż nad nią zawisała błękitna ważka. Wróble kłóciły się w gałęziach, pies szczekał w oddali. Kot gospodarzy przyszedł i kręcił się obok nich. Trącał ją głową, by nie przestawała go głaskać. Drapała go więc za uchem i wpatrywała się w swoje zapiaszczone nogi. Miała wrażenie, że czas zatrzymał się w tym miejscu. Zastygł, jakby nie miało być już żadnego potem. Chwila przeciągała się w nieskończoność, a ona czuła, że coś jest poza tym, coś ważnego, tylko jeszcze tego nie rozumie.

I wtedy zadzwonił telefon. Wyciągnęła go z torby, zobaczyła „Mama” na wyświetlaczu i zaklęła. Przypomniała sobie, że obiecała do niej zadzwonić, gdy tylko dojedzie. Nie zadzwoniła. Zapomniała albo chciała zapomnieć. Nie przepadała za tym zwyczajem, była już dorosła.

– Halo? – Odebrała i czas ruszył z miejsca.

Okruchy

Ależ potrafiłyśmy się kłócić! Przez lata obrosłyśmy wzajemnymi pretensjami jak zatopione statki koralowcem. Czasem wystarczył drobiazg, by wywołać awanturę, a wówczas niemal nie było zdania bez: „bo ty zawsze...”, „bo ty nigdy...”.

Teraz milczymy zaskoczone, że to już, że to tak. Czasem wymieniamy kilka zdań, ledwie na siebie patrząc.

- Strasznie dziś duszno.
- Na jutro zapowiadają deszcz.
- Tak, ale kwiaty podlej. Nie można im wierzyć.
- Tadek dzwonił. Pozdrawia. Ma dla ciebie książkę. Przynieść ci?
- Nie, tu i tak nie ma jak czytać. Hałas.

Na oddziale brakuje krzeseł, więc przysiadam na krawędzi łóżka i aby zabić ciszę, zagaduję jej sąsiadki z pokoju.

- Która to chemia?
- Dwunasta, ale ta będzie ostatnia.
- O, świetnie. Zdrowia życzę i proszę tu nie wracać.
- Ja dostanę jeszcze sześć – wtrąca druga. – Ale od teraz mam przychodzić rzadziej.
- To chyba dobrze?
- Pewnie! Po każdej chemii człowiek jest jak z krzyża zdjęty. Nic się nie chce, nic nie smakuje, miejsca nie można sobie znaleźć.

Ona milczy. Nie lubi tych rozmów ani tego oddziału. Chciała być na wewnętrznym, bo tu wszyscy z rakiem. Ja nie narzekam. Pokój jasny, za oknem drzewa. Inaczej niż na SOR-ze. Tam cały dzień przesiedziałyśmy w podziemiach. Wystarczy.

*

O dziesiątej zaczynają podawać chemię. Raz po raz ktoś wchodzi do zabiegowego i wraca przyczepiony do kroplówki. Stojaki skrzypią, pacjenci mijają się z dostojeństwem jak w renesansowej pawanie. Ten z telefonem przy uchu, tamta z książką.

Między nimi krążą pielęgniarki i niestrudzona salowa z mopem. Czasem przemyka laborantka z materiałem do badań. Najrzadziej pojawiają się lekarze i zawsze się śpieszą. Nie próbuję ich gonić. I tak nie wiem, za którym miałabym biec. Wciąż do nikogo nas nie przydzielono. Siedzę na krawędzi łóżka i przez otwarte drzwi patrzę na korytarz. Ileż to życia potrafi być w takim miejscu! Las stojaków od kroplówek gęstnieje z każdą chwilą.

Uwieszona do nich zielone worki wirują w powietrzu. Do obiadu jest ich tyle, że czuję się jak na paradzie.

Ona nie patrzy. Skupia się na sobie.

– Podać ci coś? – pytam.

– Nie. Przyjdź później – mówi i zamyka oczy.

*

– Niech pani tędy nie idzie! – Kobieta z papierosem zastępuje mi drogę.

Stoi z grupą palaczy u wejścia do alejki za budynkiem. Jest w piżamie i kapciach, mimo to wygląda groźnie.

– Czemu? – pytam.

– Tam jest kotka, czarna. Jeszcze nieszczęście jakie sprowadzi.

– Powinni ją przegnać – mówi druga w różowym szlafroku. – Szpital to nie miejsce na koty, a ta kręci się przy kostnicy dzień i noc. W dodatku jest kotna. O, widzi pani? Chowa się w krzakach, a brzuch ma taki, że na pewno jest.

– Mnie koty nie przeszkadzają – odpowiadam i przechodzę obok nich.

– Pani sprawa. – Pierwsza wypuszcza z sykiem kłęb dymu.

– Tylko potem niech nie płacze! – dodaje Różowy Szlafrok.

Przyśpieszam i już płacę.

*

– Będę z panią szczerą – oznajmia ordynator i omija mnie wzrokiem.

Siada, wygląda spódnicę. Bierze z biurka plik wydruków. Czyta i tak już będzie do końca rozmowy. Przejrzy je co do jednego. Zasypie mnie fachowymi nazwami. Wspomni o blastach, leukocytach, namnażaniu, poda liczby i procenty. Zrozumiem z tego tylko tyle, że jest źle, bardzo źle. Dopiero gdy zaczną się zbierać, tamta wreszcie spojrzy mi w oczy, lecz nawet wtedy schowa się za szkłem okularów.

– Niech pani się modli, by umarła tutaj. Ja nie mam miejsca na takich jak ona. Walczę o tych, którzy mają szansę. Ona nie ma. Kiedy gorączka spadnie, odeślę ją do domu, a wówczas zostanie pani z tym sama.

Zamykam za sobą drzwi. Łzy płyną mi po twarzy. Nie chcę ich! Nie potrzebuję! Mijam czekających w kolejce i zbiegam po schodach. W duchu modłę się o to, co radziła tamta.

U wejścia do budynku zderzam się ze znajomą.

– Co ty tu? Co ci jest?

– Ach, szkoda gadać.

A jednak rozmawiamy. Płaczymy, wylewamy żale. U mnie matka, u niej ojciec. Stoimy w przejściu, a drzwi obok nas jęczą jak bramy piekieł za każdym razem, gdy je ktoś otwiera.

– Ile to może potrwać? – pyta mnie, podając chusteczki.

– Nie wiem. Dzień, miesiąc, trudno zgadnąć. Tyle że to już tylko umieranie!

– Nie martw się, ponoć na końcu oni czują ulgę.

– Obyś miała rację.

*

Skupiam się na jej oddechu. Liczę każdy wdech i wydech, nie wiem, po co. Mam jedynie nadzieję, że następny będzie ostatnim, ale one wciąż świszczą w nocnej ciszy, jak wpadające w szczeliny podmuchy wiatru. Obraz za oknem znam na pamięć. Ciemnieje i jaśnieje od kilku dni. Komin, krawędzie dachów, migający napis „Hematologia” i słupek, na którym przysiada wrona.

Na podłodze leży okruch z kolacji. Wokół niego kręci się mrówka. Podchodzi i chyba próbuje go dźwignąć. Po chwili odwraca się, jakby szukała wsparcia, i powtarza wszystko od początku. Nie mogę oderwać od niej oczu. Walka zdaje się nie mieć końca.

Nad ranem lekarka każe mi wracać do domu. Jest taka młoda i tak inna od pani ordynator. W przeciwieństwie do tamtej ma odwagę patrzeć mi w oczy.

– Proszę ją zostawić – mówi i delikatnie pcha mnie w stronę drzwi. – To jej pomoże odejść.

Jadę do siebie, ale nie umiem znaleźć sobie miejsca. Zaczynam gotować zupę i gdy zapach grzybowej rozchodzi się po kuchni, dzwoni telefon.

– To już. – Słyszę w słuchawce.

*

Wychodzę ze szpitala skrótem obok kotki. Okociła się tej nocy. Cztery małe oseski popiskują u jej boku. Nalewam wodę do miski i gładzę ją delikatnie. Czarne futro lśni w blasku latarni jak worek, w którym ona leży zamknięta w budynku obok.